

Bo wiem, że dobry pozwoli nam Bóg...

Krystyna Rudowska



Michał Gutowski w 1945 roku.

„Bo wiem, że dobry pozwoli nam Bóg Przetrzeć wieki na szalonych jazdach Tętentem kopyt rozbrzmiewać po gwiazdach i krzesać złote skry z mlecznych dróg” (Henryk Zwierzchowski)

Ileż to razy, wspominając II wojnę światową, zastanawiałem się, czy ta krew przelana była potrzebnie - mówi z zadumą - pułkownik Michał Gutowski. Przez wiele lat nie mogłem sam sobie na te pytania odpowiedzieć. Teraz, kiedy doczekałem się wolnej Polski, wiem, że tak. Życiorys pana Michała, obecnie trenera i sędziego jeźdźców kanadyjskich, jest długi i barwny, jednak najwięcej miejsca zajmują lata wojenne.

"Było jeszcze ciemno, choć niebo zaczynało się pomału rozjaśniać -wspomina pan pułkownik. Na czele sił głównych, Brygady Kawalerii Poznań, maszerował pod moim dowództwem 1 szwadron 17 pu. Przed nami szła straż przednia 15 pu, za nami reszta Brygady. Szliśmy kilka godzin w idealnej ciszy i czuliśmy się bardzo zmęczeni.

Nagle, moje monotonne kiwanie się w siodle, przerwał narastający huk motoru. Zza zakrętu wyjechał motocykl. Z przyczepy wyskoczył oficer sztabu Brygady, zaszalutował i wyrecytował:

- Rozkaz dowódcy Brygady: czołowy szwadron galopem naprzód. Natychmiast.

Ruszyliśmy galopem. Nikt nie wiedział gdzie i poco. Konie poruszały się z ogromnym wysiłkiem.

Słychać było nierówny takt galopu i bardzo nierówne oddechy. Nagle krzyk z tyłu: - Podać do dowódcy szwadronu: koń padł w taczance.

Za chwilę znowu zamieszanie:

- Padł koń w trzecim szwadronie. Nie ma co - myślę, stracę za dużo koni. Podaję do tyłu komendę i przechodzimy do stępa.

Czuję przez siodło jak mojemu koniowi drżą nogi. Robi mi się przykro. Z daleka słyszę już odgłosy walki. Wraca oficer na motocyklu:

- Maszerować czym pary w koniach - krzyczy. Każda minuta ważna. A pan, panie rotmistrzu, proszę do dowódcy Brygady.

- Józek - wołam do swego zastępcy i przyjaciela, por. Józefa Madalińskiego prowadź kłusem. Sam wraz z poczem, ruszam galopem, choć w koniu niewiele już pary pozostało. Kiedy wypadliśmy z lasu przed nami rozciągał się płaski skrawek terenu - dolina rzeki Warty.

Na prawo od drogi, na skraju lasu, stał generał Abraham ze swoim sztabem. Podjechałem galopem i z konia zameldowałem się.

Generał oderwał oczy od lornetki.

- A... Gutowski! Świetnie. Widzisz most? - krzyknął do mnie głośno, bo huk od strzelaniny był straszny.

- Tak jest - odpowiedziałem, choć szczerze mówiąc widziałem niewiele.

- Gdzie masz szwadron - krzyczy generał.

- Nadchodzi - próbowałem przekrzyknąć świst kul.

- Szarżuj natychmiast na most - usłyszałem jak przez watę i szczerze mówiąc myślałem, że źle usłyszałem.

- Tak jest - odpowiadam jak zwykle i dodaję - ale jaka jest sytuacja?

- No przecież widzisz - zachnął się generał - Niemcy po tamtej stronie.

- Tak jest - odpowiedziałem bezwiednie.

Szwadron kłusem wyjeżdżał z lasu. Podjechałem na czoło i dałem znak ręką: "Do stępa". Przez moment zastanawiałem się jak to powiedzieć moim ułanom. - Ułani -krzyknąłem - szarżujemy na szkopów przez most. Tylko z fasonem. Cały sztab Brygady na nas patrzy.

Jeszcze raz poderwaliśmy do wysiłku nasze spracowane konie. Wyciągnąłem szablę i odwróciłem głowę do tyłu. Za mną rwała pełnym galopem moja sekcja pocztu z młodziutkim podchorążym Romkiem Bonieckim na czele. Dalej jak na pokazowych ćwiczeniach. Pluton za plutonem, a twarze wesołe jak do tańca, a nie pod kule.

Most był coraz bliżej. Tętent rozpędzonych koni mieszał się ze świstem kul. Mgła unosiła się nieco do góry i widać było teraz wyraźnie gardziel, w którą mieliśmy wjechać.

- To przecież jak pod Samossierą - przeszło mi przez myśl.

- Huurraaa! - wrzasnąłem jak oszalały.
- Huurraaa! - odpowiedział mi ryk z tyłu.

Wpadliśmy na most. Kilka pocisków rozerwało się tuż przede mną. Serce mi waliło, a mój dzielny Dziuryt rwał jak po torze wyścigowym. Wreszcie dopadliśmy końca mostu. Skręcam w prawo, przed nami luźno rozrzucone zabudowania Uniejowa. Rozwijam szwadron w luźne szyki, oglądam się do tyłu i stwierdzam, że są chyba wszyscy. Ale gdzie są Niemcy?

Niemców już nie było. Wystarczyła szarża".

Ostrogi

Pułkownik Michał Gutowski urodził się 13 września 1909 r. w majątku Maciszewice koło Kalisza. W 1915 roku jego rodzice kupili drugi, nieco zdewastowany majątek zwany Jesionną. Był to stary, zabytkowy dwór otoczony pięknym parkiem. Kiedy wiosną stawało się ciepło i dni były coraz dłuższe państwo Gutowsky pakowali na wóz trochę mebli, garnków, ubrań i różnych innych potrzebnych na wsi rzeczy i pod opieką bony i stangreta wysyłali dzieci do tego uroczego majątku na wakacje. Pachniało bzami i maciejką, powietrze drgało od dźwięków wydawanych przez budzące się ze snu stworzenia, a dwóch malców Michał i Andrzej na dwóch małych konikach podążało za zagraconym wozem.

Pan Paderewski, były oficer armii rosyjskiej, uroczy, choć trochę mrukliwy starszy pan, z jednoczesnym podniesieniem bata i gromkim "dalej chłopcy, jazda" przejmował kierownictwo nad młodszą częścią rodziny państwa Gutowskich.

Podstawowym zajęciem w czasie wakacji była oczywiście jazda konna. Ostra dyscyplina na lekcjach na niewiele się jednak zdawała, ponieważ zwariowane kuce, nie miały ani dzieci, ani nawet pana Paderewskiego w specjalnym poważaniu. Najczęściej, teren do zajęć opuszczały przed zakończeniem lekcji, pozostawiając zrozpaczonych chłopców na ziemi, i narażając ich na tubalny krzyk trenera: "A wam, jak co dzień tylko figle w głowie". Te straszne koniska zachowywały się po prostu nie fair. Jazda konna była w tym domu obowiązkowa, a zasada: "wsiadaj, jeżeli żyjesz" dominowała nad każdą inną. Oczywiście mali jeźdźcy jeździli bez siodeł mając tylko cienką derkę podłożoną pod najbardziej wrażliwą część ciała.

Kiedy Michał osiągnął wiek pierwszej dorosłości, rodzice zdecydowali, że pojedzie do gimnazjum do Poznania. Przyszły kawalerzysta po raz pierwszy zobaczył duże, prawdziwe miasto. Czysty i schludny Poznań spodobał mu się, szybko też zaprzyjaźnił się z chłopcami z miasta.

"W domu u jednego z kolegów poznałem jego brata. Był on kadetem ze szkoły kadetów nr 1 we Lwowie. Za każdym razem, kiedy widziałem w drzwiach szczupłą sylwetkę w stylowym, granatowym mundurku ogarniało mnie wzruszenie. Zauroczenie moje tą szkołą było tak silne, że któregoś dnia w pełnej konspiracji przed rodzicami, podjęliśmy z bratem męską decyzję: zmieniamy szkoły. Rodzice protestowali jakiś czas, ale wreszcie wyrazili zgodę na pojechanie na egzaminy. Ku ich przerażeniu egzaminy zdaliśmy i zostaliśmy wcieleni w poczet kadetów.

Rozpoczęte na nowo życie we "lwowskiej jedyńce" nie było najłatwiejsze. Po pierwsze byłem najmłodszy wiekiem, a po drugie, choć wstyd się przyznać wzrostem. Stało się to od razu przedmiotem drwin i czasem niezbyt miłych żartów. Dyscyplina szkolna była dość okrutna, a do tego starsi kadeci mieli niepisaną zgodę oficerów na "znęcanie się nad młodszymi". Salutowanie na każdym kroku prawie rówieśnikom było jednym z najsympatyczniejszych hołdów składanych "prawdziwym" uczniom Korpusu. Mimo to uwielbiałem swoją szkołę i nigdy bym jej nie opuścił.

Na początku tęskniłem bardzo za jazdą konną, ale niestety o przynależności do Klubu Jazdy Konnej, na pierwszym roczniku nie było na wet co marzyć. Tam jeździły wtedy późniejsze sławy polskiego jeździectwa: Dowbór, Łuski, Galica, Sobański, Czernawski, Zelewski, Jurkowski, Komorowski, Zaniewski i wielu innych.

Wreszcie i na mnie przyszła kolej. "Jeździsz?" - zapytał ostro instruktor, na pierwszych zajęciach. "Tak" - odpowiedziałem, myśląc, że to co umiem robić na koniu, można nazwać jazdą. "No to bierz konia i na trening" - dodał ostro oficer.

Uff! Ciężka to była lekcja definicji: "co to znaczy jeździć konno". Kłus i galop poszedł mi jeszcze jako tako, ale kiedy padła komenda: "Od czoła: z konia i na koń", myślałem, że będzie to ostatni mój dzień w Klubie. Jakim cudem moje krótkie nogi pozwoliły mi się odbić od ziemi tak wysoko, że wylądowałem znowu w siodle, tego do dzisiaj nie wiem. Chyba pomogła twarda szkoła pana Paderewskiego. Nie będę więcej już opowiadał o swoich początkach, o skokach, dość, że do dzisiaj jestem wdzięczny koniom, na których wtedy jeździłem.

Wiosną 1926 roku, wystartowałem na pierwszych, dużych, kilkudniowych zawodach. Do konkurencji stanęły takie osobistości jak: mjr Dobrzański, mjr Komorowski (Bór), Trenkwald, Mitraszewski, Zgorzelski i wielu innych. Tremę miałem tak ogromną, że na pierwszym koniu dojechałem tylko do pierwszej przeszkody i po trzech odmowach konia, zostałem odtrąbiony. Na drugim poszło już nieco lepiej i po dogrywce zająłem czwarte miejsce.

Trenowałem bardzo dużo, ale nie wszystkie treningi kończyły się szczęśliwie. Może jeździłem zbyt brawurowo. Któregoś dnia, za zbyt odważny skok zostałem ukarany: przy upadku złamałem nogę w kilku miejscach.

Koledzy docenili moje bohaterstwo i wręczyli mi przepiękne ostrogi z dedykacją.

Po ukończeniu Szkoły zdecydowałem się na kontynuowanie jeździectwa, a więc pozostanie w wojsku. Najpierw Szkoła Kawalerii w Grudziądzu, potem mundur ułański. Wybór mój padł oczywiście na czternasty Pułk Ułanów Jazłowieckich.

Kiedy szczęśliwy z dyplomem ukończenia szkoły i przydziałem do pułku przyjechałem do domu na wakacje ojciec nie krył swojego niezadowolenia. "Nic z tego, synu - powiedział. Moim pułkiem jest siedemnastka i ty też będziesz dla tego pułku służył. Cóż było robić. Pojechaliśmy do Leszna. Ojciec chciał mnie osobiście przedstawić dowódcy. Tam trafiliśmy na wspaniałą uroczystość. Pułkownik Pragłowski przejmował pułk od długoletniego dowódcy pułkownika Włodzimierza Podhorskiego. Nowy dowódca, mimo że był bardzo zajęty, znalazł dla nas chwilę czasu. Poklepał mnie serdecznie po ramieniu i rzekł: "za rok meldujesz się u nas na manewrach".

Urlop był bardzo krótki. Przemierzyłem Polskę wzdłuż i wszerz w ramach szkolnej praktyki, z 23 pułkiem piechoty i zjawiłem się w wymarzonej Grudziądzu.

Straszny Platonoff

"Nie wiem dlaczego, ale od momentu zjawienia się w Grudziądzu, dowódca plutonu szkolnego bardzo mnie nie lubił. Wszystko co robiłem, bardzo mu się nie podobało i o byle co pisał raporty. Do ciągłego zakazu opuszczenia koszar tak się przyzwyczaiłem, że kiedy mogłem je opuścić wydawało mi się, że dostałem nagrodę. Przez to Grudziądza prawie nie znałem, a szkoła stała się moim drugim domem. Kiedy zbliżał się urlop wielkanocny, rotmistrz Antoni Platonoff, nasz w gruncie rzeczy dobry dowódca, postanowił wymyślić jakąś specjalną karę. Dostaliśmy zakaz wyjazdu na urlop i objeżdżanie codziennie dwunastu szkolnych koni. Mnie to nawet przypadło do gustu i gdyby nie fakt, że w nocy nie mogłem się przekręcić swobodnie na plecy, byłbym całkiem zadowolony.

Latem, wszyscy ułani, wyjeżdżali na manewry do wybranych pułków. Ja oczywiście, powinienem jechać do siedemnastego. Natomiast Pan rotmistrz, lekceważąc wolę ojca i mój wybór przydzielił mnie do szesnastego. Całą noc myślałem jak wybrnąć z tej sytuacji. Rano, z gotowym już planem, zerwałem się wcześniej i jeszcze przed pobudką usiadłem na łóżku mojego przyjaciela Józia Walickiego. "Józiu - szepnąłem do całkiem zaspanego dryblasa - jesteś moim najlepszym przyjacielem?". "Jestem" - szczerze odpowiedział Walicki. "Józiu, jesteś "pistoletem"? - spytałem na wszelki wypadek. "Jestem" - jeszcze szczerzej odpowiedział zaspany podchorąży. "W takim razie słuchaj" - nie miałem już wątpliwości, że mój pomysł zostanie zrealizowany - pojedziesz na moje papiery do szesnastego pułku, a ja na twój przydział do siedemnastego. Józef długo siedział na łóżku z otwartą buzią. Kiedy jednak nadszedł czas wyjazdu, stało się tak, jak zaplanowałem. Niestety nie przewidziałem jednego, większość oficerów znała moją twarz i nazwisko z zawodów jeździeckich. Toteż, kiedy tylko przyjechałem do pułku, zostałem wezwany do dowódcy. Porucznik Wiesiołowski krzychał już od progu: "Co wy tam macie za bałagan, w tym Grudziądzu, nie ma w ogóle twoich papierów, a za to przysłali mi dokumenty jakiegoś Walickiego". Zacząłem się jąkać, ale, że kłamać nie umiałem, powiedziałem całą prawdę, dodając, że dostałem rozkaz od pułkownika Pragłowskiego: "zjawić się na manewry w siedemnastym pułku". "No to też jestem" - zakończyłem, trochę jednak czerwony ze wstydu. Wiesiołowski zaniemówił i tylko ruchem głowy wysłał mnie do dowódcy. Pułkownik wysłuchał mnie uważnie, a potem szczerze się roześmiał. "Ale pistolet jesteś, a ten Walicki, to dobry przyjaciel. Po skończeniu szkoły obaj możecie służyć w naszym pułku".

I tak też się stało. Młody chorąży, Michał Gutowski, wyruszył na wojnę w 39 roku w barwach siedemnastki. Ale wcześniej, na uroczystym przyjęciu po zakończeniu Szkoły, Platonoff dowiedział się, jak to było naprawdę z tymi praktykami.

Sz szczególnie obfite w sukcesy były dla pułkownika Gutowskiego lata 1933-1939.1 to nie tylko w sukcesy sportowe. W 1933 przystojny ułan poznał swoją przysłą małżonkę.

"Poznaliśmy się w Lesznie, na eleganckim balu w kasynie pułkowym, który odbywał się, jak co roku, po biegu myśliwskim św. Huberta. Zosia zjawiała się na nim w całej krasie swoich siedemnastu lat i, swojej urody. W rok później 20 października odbył się nasz ślub. W 1935 r. urodził się nasz pierwszy syn Piotr, a na pięć miesięcy przed moim wyjściem na wojnę drugi syn Marek. Rozstanie z tak jeszcze młodą żoną i malutkimi dziećmi było dla mnie wielkim przeżyciem. Nie wiedziałem wtedy, że dobry pan Bóg pozwoli mi zobaczyć ich znowu już za dwa tygodnie".

Z 9 na 10 września ruszyliśmy z pierwszy natarciem. Do walki poszedł 2, 4 i 1 szwadron 17 pułk i 3 szwadron z 15pu wzmocniony cekaemami.

Główny bohater bitwy walewickiej, pan Gutowski nazwał ją po latach "bitwą o Zosię".

"Niemcy mieli dość silną pozycję w Sobocie i Walewicach. Otoczeni byli stawami rybnymi i bagnami, teoretycznie nie do przejścia. Nie wiedzieliśmy nawet wtedy, że staje-my do walki z kawalerią motorową pod dowództwem znakomitego jeźdźca i olimpijczyka z 36 roku płk. van Oppeln-Bronikowskiego.

9 września, po pierwszym natarciu, nasz pułk zdobył Sobotę. Mój szwadron cały ten czas rozpoznawał i walczył na odcinku Łowicz-Strugienice-Zduny. Wieczorem otrzymałem rozkaz powrotu do pułku i wypadu na Walewice. Mieliśmy przejść po kładce przez Bzurę, omijając zabudowania Soboty, potem groblami lub jeżeli będzie trzeba w bród przez stawy rybne do drogi na wieś Walewice i stamtąd uderzyć na dwór i wieś.

Ruszyliśmy około dziewiątej wieczorem . Trzeba było iść w kompletnej ciszy, bo dookoła aż roiło się od ubezpieczeniowych czujek niemieckich. Noc była zupełnie bezgwiezdna co utrudniało i ułatwiało

zadanie. Wziąłem ze sobą do akcji kilku oficerów i pięćdziesięciu ułanów, resztę zostawiłem z koniowodnymi. Sceneria była zupełnie jak z horrorów dla dzieci, to chlupnie woda, to żaba zaskrzeczy, to krzyknie obudzony ptak. Cisza. W pewnym momencie zakotłowało się. Trochę krzyków, trochę granatów i znów ta przerażająca cisza. To czołowy patrol wpadł na jakieś ubezpieczenia niemieckie. Ruszyliśmy biegiem, nie chciałem się dać zaskoczyć na groblach pośród stawów. Kiedy przebiegliśmy na drugą stronę stawów zobaczyliśmy płonąca Sobotę i usłyszeliśmy nierówne odgłosy walki. Nie bardzo wiedziałem co dalej robić, wreszcie nadszedł rozkaz odwołujący akcję. Nie mogłem uwierzyć. Teraz wracać? Tą samą drogą? Nie pomóc kolegom? Zacząłem nalegać na pułkownika o pozwolenie na uderzenie ze skrzydła choćby tylko moim szwadronem. Wreszcie pułkownik Russocki zgadza się. Jakaś przemożna siła pcha mnie do tej akcji. "Idź, niech cię Bóg prowadzi" - mówi dowódca.

Wybrałem patrol bojowy z czterech ułanów i ruszyłem na czele. Niestety dróżka którą szliśmy cały czas skręcała w prawo, odciągając nas od głównego kierunku marszu. Przed nami zagradzała nam drogę dość wartko płynąca rzeczka Mrąga. Spróbowałem wplaw, ale prawie zaraz przy brzegu wpadłem po szyję w wodę. Chwilę tracimy na szukanie mostku, ale go w końcu znajdujemy i ruszamy do przodu. Gwałtowny, prosto w twarz ogień karabinów maszynowych wtłacza nas w ziemię. Pociski robiły wrażenie roju robaczek świętojańskich. Rozproszyliśmy się gdzie się dało i rozpoczęliśmy akcję z granatami. De się dało. Byli blisko i na moment ogień ucichł. Skorzystałem z okazji krzyknąłem "Hurrra" i ruszyłem biegiem naprzód. Wpadliśmy z bagnetami w grupę uciekających Niemców. Trochę szamotaniny niektórzy zostali, niektórzy uciekli, a my pognaliśmy naprzód. Przed nami zobaczyliśmy zabudowania walewickie, ogień z km lał się jak z sikawek strażackich. Jedyłą naszą osłoną była ciemność. Zwołałem szwadron i dałem rozkaz opanowywania kolejno zabudowań. Zaskoczeni Niemcy zaczynają strzelać trochę na oślep. Świt już, niedaleko, ale i krzyżówka z szosą też. Po drugiej stronie drogi zaczynały się już tereny Pałacu Wale wickiego. Wydałem rozkaz do szturm i poderwali się do akcji. Prosto w ogień. Nagle poczułem tak straszne uderzenie w ramię, że byłem pewien, że jest to ostatnia sekunda mojego życia. Zrolowałem się do rowu i straciłem przytomność. Kiedy się ocknałem, ktoś ciągnął mnie za prawe ramię, to plutonowy Michał Wypych próbował ulokować mnie w bezpiecznym miejscu. Pomału przychodząc do siebie próbowałem zebrać myśli i kiedy tuż koło mnie rozerwał się pocisk szybko przypomniałem sobie gdzie jestem. Nakazałem porucznikowi Madalińskiemu przejęcie oddziału i podczołgałem się parę metrów do tyłu, do punktu opatrunkowego. Było tam już kilku rannych. Zanim sanitariuszka zrobiła mi opatrunek i zatrzymała ciekącą jak z fontanny krew, przynieśli rannego por. Mada-lińskiego. Był nieprzytomny. Dostał w środek twarzy. Wybiegłem jak z procy, przy wyjściu wpadłem nagoń-ca. Zalany krwią chłopak zdążył zameldować: "Porucznik Nitecki zabity, Siudziński też i rozplakał się jak dziecko. Oddałem go w ręce sanitariuszy i chwając się na nogach pogałem naprzód. Po drodze próbowałem jeszcze poderwać na nogi lżej rannych ułanów "kto się trzyma na nogach, za mną" - mój głos był znacznie silniejszy niż moje ciało. Nie bardzo wierzyłem w to co krzyczałem, bo sam miałem nogi jak z waty.

To była naprawdę śmiertelna walka. Ogień, huk, krzyki, co jakiś czas polskie "hurra". Wreszcie byliśmy u celu, spróbowałem jeszcze raz: "Pierwszy szwadron za mną", ale poderwało się dosłownie tylko kilku. Krótka walka na bagnety. Niemcy próbowali się poddawać, ale tym razem pardonu nie było. Wreszcie zapadła cisza. Kręciło mi się w głowie jak po zabawie, a nie po walce.

Podjechał pułkownik Kowalczewski, dowódca całego uderzeni a i zapytał:

- Jakie masz straty?

- Szesnastu zabitych, dwudziestu jeden rannych - odpowiedziałem.

- Toś stracił cały szwadron, tak się nie wojuje.

- Panie pułkowniku melduję, że wykonałem zadanie i za innych się nie chowałem - nie mogłem powstrzymać tonu goryczy i żalu.

Czyż można było walczyć inaczej?

Ranek rozjaśnił niebo na dobre i pobojuwisko wyglądało jak namalowane na obrazku. Nie było już nic z tego nocnego koszmaru. Leżę na stanowisku koło K.M. Podjeżdżamy pod pałac Walewicki i oczom nie wierzę. Stoi generał Brygady, dowódcy pułków i grupa cywili, wśród których widzę moją Zosię z dziećmi. I to oni byli tą siłą, która tak mnie pchała do walki. Siedzieli uwięzieni w pałacu i modlili się do Boga o pomoc.

Jakiś czas byłem w szpitalu. Potem wziąłem udział w Bitwie Kutnowskiej i po niej straciłem łączność z pułkiem. W trakcie szukania go, na progu Puszczy Kampinoskiej, znalazłem się w grupie rozbitków z Pomorskiej Brygady Kawalerii, prowadzonej przez niezwykle dzielnego dowódcę 8 Pułku Strzelców Konnych płk. Jerzego Jastrzębowski. Pod jego dowództwem przeszedłem prawie pół Polski. W połowie października znaleźliśmy się u podnóża Karpat. Zostało nas już tylko kilkunastu. Pułkownik Jastrzębski postanowił, że wraz ze zdrowymi przejdzie na piechotę przez granicę. Ja mając, przestrzelone ramię znalazłem się w grupie rannych, którzy musieli zostać. Okazało się później, że był to palec opatrzości, wszyscy, którzy wtedy wyruszyli, wpadli w zasadzkę i poszli do niewoli.

Z wielkim trudem dotarłem pod Jarocin do majątku teściów. Wiedziony jakimś złym przecuciem zamiast do drzwi podszedłem najpierw pod okno, w środku byli Niemcy.

Ruszyłem na poszukiwanie żony z dziećmi. Po długiej i niebezpiecznej wędrówce dowiedziałem się, że są w obozie. Trzy razy udawało mi się tam dostać i podrzucić trochę żywności, za czwartym razem wpadłem. Zawieźli mnie do komendy w Jarocinie, gdzie zadecydowali, że najlepiej będzie mnie rozstrzelać. Błyskawicznie zacząłem szukać wyjścia z sytuacji. Poprosiłem o rozmowę z oficerem, któremu wmówiłem, że nigdy nie byłem w akcji, bo jestem wyłącznie rezerwistą, startującym na zawodach jeździeckich. Jak zwykle miałem szczęście, okazało się bowiem, że ten Niemiec też jest kawalerzystą. Kiedy się o tym dowiedział, że startowałem na Olimpiadzie, bez chwili wahania syknął: "niech pan zwiewa i dla gestapo nie żyje pan już od dwóch godzin".

Pojechałem do Warszawy, a stamtąd do Zakopanego. Tam zacząłem pracować jako kurier i nosiłem przez góry meldunki. Kiedy groziła mi wsypa przedostałem się na Węgry, potem do Jugosławii, Włoch, aż wreszcie do Francji, do oficerskiego obozu w Vichy. Nudno tam było okropnie, na szczęście wkrótce zostałem oddelegowany do Paryża, gdzie byłem łącznikiem na dworcach kolejowych.

W lipcu znaleźliśmy się na południu Francji, gdzie pod koniec 1940 załadowano nas na statek i popłynęliśmy do Anglii. Dostałem przydział do 10 Pułku Strzelców Konnych. W 1941 zgłosiłem się na kurs dla cichociemnych, którego nie udało mi się ukończyć, bo odnowiła się moja rana w nodze. W maju 1944 roku powędrowaliśmy na południe Anglii i zostaliśmy włączeni do akcji. Byłem wtedy dowódcą szwadronu rozpoznawczego pułku pancernego 1. Dywizji Pancernej gen. Maczka".

Inwazja kontynentu Europy w 1944 roku, była największą morsko-ładową operacją inwazyjną w historii świata. Operacja została przeprowadzona w ramach koalicji brytyjsko-amerykańskiej. Polska dywizja weszła w skład 2. Korpusu armii kanadyjskiej. Całością sił sprzymierzonych dowodził generał Stanów Zjednoczonych Dwight Eisenhower.

Caen, Falaise, Jert, Maczuga, Chambois to miejscowości, których nazwy na zawsze weszły do historii II wojny światowej. Czołowe, fachowe pismo brytyjskiej broni pancerniej "Tank" we wrześniu 1944 roku zamieściło artykuł będący hymnem pochwalnym polskich jednostek:

... Polska Dywizja Pancerna pod dowództwem gen. Maczka odegrała czołową rolę w uzyskaniu zwycięstwa sprzymierzonych w Normandii, zamykając w dn. 21 sierpnia 44 r. lukę, która była jedyną pozostałą drogą wyjścia na wschód od Argentau dla przetrzebionej armii niemieckiej. W ciągu sześciu

dni Polska Dywizja wstrzymała całą furię ataku dwóch niemieckich korpusów SS biorąc do niewoli 500 jeńców, w tym jednego generała i 140 oficerów...

"Swoją kampanię rozpocząłem od gry w kukułkę. Była to ulubiona zabawa rosyjskich oficerów, którzy chcieli się popisać swoją odwagą. Wchodzili do bardzo ciemnego pokoju i jeden wołał ku-ku, a drugi strzelał w miejsce skąd wydawało mu się, że dźwięk pochodził, i tak aż do pierwszej krwi. Podobnie to wyglądało, kiedy otrzymałem zadanie: rozpoznać nieprzyjaciela.

Wyjechaliśmy czołgami na prawie odsłonięte pole, całkowicie zasłonięci dymami. Zarówno my jak i Niemcy nie znaliśmy nawzajem swojego położenia. Niestety w trakcie tej "zabawy" jeden nasz czołg został na miejscu i trzech żołnierzy z obsługi zginęło. Zadanie wykonaliśmy i położenie Niemców zostało rozszyfrowane. Po akcji szef mojego szwadronu chor. Dorosz gratulował mi pomysłów. Kiedy zdziwiony zapytałem skąd to wszystko wie, okazało się, że całej akcji przysłuchiwał się przez radio. Do jednej akcji zgłosił się znany reporter wojenny i pisarz Xawery Pruszyński. Ponieważ nie miał przeszkolenia pancernego, więc postawiłem go na stanowisku Strzelca w sąsiednim czołgu. Niestety bardzo szybko został ranny i trzeba go było odtransportować do szpitala.

Któregoś dnia pod wzgórzami Jort zdobyliśmy niemiecki czołg. Był to wspaniały Tygrys całkowicie na chodzie. Wskoczyliśmy do środka i nie zważając na niemieckie trupy postanowiliśmy go przywieźć do naszych linii. Tak byłem przejęty porywaniem czołgu, że nie zauważyłem, że niemieckim czołgiem jedziemy prosto na naszych. Chwila otrzeźwienia i czyjaś biała koszula uratowała nam chyba życie.

Długo by można opowiadać o tej najcięższej i najtrudniejszej kompanii. Bóg chciał, że przeszedłem ją cały i zdrowy. 14kwietniana granicy z Niemcami objąłem dowództwo 27 pułku, a wraz z nim batalionu piechoty i dwóch szwadronów samochodów pancernych.

Wkrótce potem wysłuchaliśmy ostatniego rozkazu dowódcy i zrozumieliśmy, że Polska nie będzie już wolna, zapadła grobowa cisza, był to moment w całej wojnie najbardziej przykry.

W czasie okupacji Niemiec miały mną nieustanne rozterki. Co robić? Wracać? Nie. Ale co z rodzinami? Któregoś dnia zorganizowaliśmy dwie niemieckie ciężarówki, przemalowaliśmy na samochody UNR-y i z cichą aprobatą generała wysłaliśmy je do Polski po rodziny. Akcja się udała i przyjechało 65 osób, między innymi moja żona z chłopcami. Było to w listopadzie 45 r. Jeszcze dwa lata spędziliśmy w Niemczech i następnie przerzucono nas do brytyjskiego Korpusu Przesiedlenia i Rozmieszczenia. Dostałem stanowisko dowódcy obozu w Davon. Udało mi się nawiązać kontakt z moimi kolegami z kawalerii i na jesieni pojechałem do Windstoru ujeżdżać konie. Tam dowiedziałem się, że ośrodek pięcioboju nowoczesnego poszukuje jeźdźców do przygotowania koni pięcioboistów do Olimpiady. Pojechało nas natychmiast sześciu. Ze 150koni przygotowaliśmy 80, byli z nas bardzo zadowoleni. W czasie Olimpiady zaproponowano mi posadę trenera ekipy kanadyjskiej. Jedynym warunkiem było, że musimy dotrzeć do Kanady przed pierwszym wrześniem. Niestety pojechaliśmy dopiero w październiku, czy nawet listopadzie. Samolot wylądował w Montrealu, gdzie przesiedliśmy się na pociąg. Kiedy wysiedliśmy na dworcu w Toronto, miałem wrażenie, że wysiadłem w Pcimiu Dolnym. Było ciemno, pusto i padał straszny deszcz. Miałem ze sobą żonę, dwie walizki i dwoje dzieci. Poszedłem do informacji, gdzie wskazano nam pokoje do wynajęcia. Następnego dnia poszukałem nieco lepszego pensjonatu, już nawet z wyżywieniem. Za zaoszczędzone pieniądze nie mogliśmy żyć dłużej niż miesiąc. Niestety praca moja już była nieaktualna. W krótkim więc czasie musiałem znaleźć coś innego. Poszedłem myć samochody. Potem były różne inne prace, lepsze, gorsze i zupełnie nijakie, wreszcie spotkałem kanadyjskiego generała Mana, który obiecał pomoc. Niedługo zaproponował trenowanie ekipy kanadyjskiej. Powiedziałem, że bardzo chętnie, nawet od zaraz, ale my nie mamy gdzie mieszkać. Ponieważ był on bardzo bogatym człowiekiem, więc od ręki kupił nam dom. Zaczęło nam spokojnie starczać na życie. Bardzo szybko poznałem wielu bogatych i wpływowych ludzi. Poziom jeźdźców był zupełnie zerowy, a konie bardzo marne, tym niemniej po jakimś czasie zaczęliśmy odnosić sukcesy. Skończyło się wszystko w bardzo głupi sposób. Kiedy w 51 roku zaczęliśmy już bardzo

poważnie przygotowywać się do Olimpiady przyjechał do mnie dziennikarz z "Globe and Mail" bardzo liczącego się torontyjskiego dziennika i zapytał jakie szanse ma ekipa na Olimpiadzie. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą: żadne. I to był mój koniec, no bo jeżeli ekipa nie ma żadnych szans, to po co pakować w te treningi pieniądze, no i sponsorzy przestali płacić. Klub musiał upaść śmiercią naturalną. Zostałem na lodzie.

Na szczęście dość szybko dostałem następną propozycję. Bardzo bogaty właściciel hotelu w Quebecu, który miał własne konie sportowe, zaangażował mnie jako jeźdźca. Startowałem w konkursach na jego koniach. Na ogół zajmowałem nie dalej niż trzecie miejsce. Właściciel był bardzo zadowolony, a ja nieźle zarabiałem. Któregoś dnia bardzo się przeziębłem i rozchorowałem na zapalenie płuc. Długo przeleżałem w łóżku mając wysoką gorączkę i biorąc ogromne ilości antybiotyków. Kiedy wreszcie zwlokłem się z łóżka byłem tak osłabiony, że nie mogłem utrzymać się na nogach. Trudno mi było usiedzieć w siodle. Na najbliższe zawody musiałem jednak pojechać. Oczywiście będąc w tak słabej formie fizycznej przegrałem z kretesem. Zachowanie mojego pracodawcy i jego rodziny zmieniło się o 180 stopni, zachowywali się tak jakbym im naprawdę wyrządził jakąś krzywdę, albo jakbym był zadżumiony. Mówiąc dosłownie, nie wpuścili mnie nawet do domu. Wtedy poraż pierwszy przysięgłem sobie, że nie będę więcej dla nikogo pracował oczywiście jeżeli chodzi o jazdę konną). Sprzedałem więc konia, kupiłem ładny bungalow i podjąłem pracę jako agent ubezpieczeniowy. Zaczęła również pracować moja żona. W soboty i niedziele prowadziłem jazdy konne. Ciągle rozglądałem się z myślą, żeby wrócić do pracy z końmi. Wreszcie znalazłem bardzo stary i tani dom ze stajnią. Wszystko było szalenie zaniedbane, harowałem dosłownie dzień i noc, ale wreszcie doprowadziłem do porządku. Kupiliśmy trochę mebli i jako tako urządziliśmy się. Wreszcie byłem "na swoim". W tym czasie dostałem zaproszenie z Ministerstwa Rolnictwa z Polski w celu zwiedzenia stad i stadnin. Pojechałem i przywiozłem kasetę video, na której pokazałem nasze piękne konie. W bardzo krótkim czasie tak się udało, że starczyło jeszcze i na dwa dla mnie. Zrobiliśmy w swoim domu kilka pokojów dla uczniów, żona gotowała posiłki i interes zaczął się rozkręcać. Wkrótce miałem 12 koni i zaczęli się do nas zjeżdżać uczniowie z całej Kanady. Jednocześnie pracowałem jako trener w pobliskim bardzo bogatym klubie jeździeckim.

Czwarte starcie

Jednym z moich uczniów - przyjaciół był właściciel rozlewni alkoholu, niesłychanie zapalony "koniarz" Larry McGuinness. Nie był to bynajmniej żaden talent jeździecki, ale miał dobre konie i bardzo dużo zapału. Dojeżdżałem do jego wiejskiej posiadłości dwa, trzy razy w tygodniu i uczyłem jego i jego młodą żonę skoków. Kiedy zaczęli startować w WKKW stwierdzili, że niezbyt pewnie czują się w ujeżdżaniu. Ja się tą dziedziną jeździectwa nigdy specjalnie nie pasjonowałem, toteż zaproponowałem, żeby poszukali jeszcze jednego trenera. Któregoś dnia mój ulubieniec przyszedł z nowiną, że znalazł najwyższej klasy fachowca, uczestnika Olimpiady w 36 roku, i byłego mistrza Niemiec w ujeżdżaniu. Przypomniałem sobie tę wspaniałą sylwetkę, toteż pochwaliłem wybór i czekałem z niecierpliwością na jego przyjazd, licząc w duchu, że też skorzystam z nauk mistrza.

Spotkaliśmy się na farmie państwa Guinnessów. Po wypiciu kilku drinków nabrałem trochę odwagi i zagadałem do generała, oczywiście po angielsku. Generał odpowiedział mi grzecznie, ale po niemiecku. Powiedziałem, że niestety nie dam rady w tym języku rozmawiać. Na co mój olimpijski kolega mówi: "To jak to, nie nauczył się pan tego języka w obozie dla jeńców?". Zrobiłem się purpurowy i mało mi szklanka nie wypadła z ręki. Opanowałem się przez grzeczność i z wolna cedząc słowa po angielsku powiedziałem: "Pan wybaczy, generale, ale nigdy w niewoli nie byłem, a wszystkie obozy jenieckie jakie widziałem to były jeńców niemieckich". "O przepraszam - powiedział z uśmiechem nasz przyszły nauczyciel - to pan też walczył na wojnie? Bo widzi pan, ja walczyłem na wielu frontach w Polsce w 39 roku, we Francji w 40 i 44 roku w Rosji, itp. Najcięższe bitwy jakie stoczyłem były w Polsce. Polska kawaleria. Cóż to był za żołnierz, kiedyś pod Warszawą jak natarli na mój zmotoryzowany oddział to wcześniej i później niczego podobnego nie widziałem. Szli do akcji raz po razie".

"Kiedy to było?" - zapytałem z ciekawością zapominając o urazie.

"Nie pamiętam dobrze" - zamyślił się generał - "ale ta miejscowość należała chyba do żony Napoleona".

"Walewice" - wykrzyknąłem, a goście zaczęli przysłuchiwać się naszej rozmowie.

"Walewice" - przytaknął generał - "gdybym chciał nie wyparliby mnie wtedy, ale wie pan, co walczyć z szaleńcami, bałem się stracić zbyt dużo żołnierzy. Wycofałem się kiedy jeszcze nie miałem zbyt dużych strat".

"Nie wiem ilu was było" - krzyknąłem tak głośno, że aż generał poczerwieniał - "ale na poboju zostało około stu, a drugie tyle wzięliśmy do niewoli.

"To pan też tam był?" - zdumienie generała nie było udawane.

"Tak" - odpowiedziałem - "to było moje drugie starcie z panem, bo pierwsze było na Olimpiadzie".

Von Oppel przyjrzał mi się dokładnie, zmrużył swoje szare, mądre oczy i przez chwilę myślał, próbując sobie coś przypomnieć. Wreszcie wolno cedząc słowa powiedział - "Ach tak, teraz sobie chyba przypominam, Warszawiaka oberlejtant Gutowski".

Powiniennem pewnie wypić teraz z generałem drinka i nie rozdrapywać dawnych wspomnień, ale moja wrodzona przekora podkusiła mnie do dalszego mówienia.

"A wie pan kiedy było nasze trzecie starcie - zagadnąłem - pamięta pan może Polską Dywizję Pancerną? Niezłego daliśmy wam łupnia co?"

Mój przyszły trener i kolega po fachu nie powiedział już wtedy nic. Było to moje czwarte starcie w imieniu polskiej kawalerii.

Generał von Oppel był w Kanadzie kilka miesięcy. Pracowałem z nim razem i jeździłem pod jego kierunkiem. Okazał się bardzo miłym człowiekiem i niezwykle wybitnym jeźdźcem.

Obecnie pan pułkownik Gutowski wraz z żoną mieszka w Kanadzie w bardzo malowniczej miejscowości Terra Cotta. Mają duży i z gustem urządzonej dom otoczony bajkową roślinnością. W zimie czasem trudno się wydostać z domu, bo śnieg zasypuje drogi. Stale uroczą pani Zofia prowadzi gospodarstwo i opiekuje się Wartą, czyli lśniącym, rozpuszczonym wyżłem. Pan Michał mimo 84 lat jest niezwykle aktywny. Prowadzi lekcje jazdy konnej, sędziuje na zawodach po całej Kanadzie, no i trenuje swojego konia, Domino. Do zeszłego roku, nasz olimpijczyk z 1936 roku, odnosił na nim sukcesy w skokach. Godne podziwu i nie do uwierzenia? Na pewno. Tak jak i cały życiorys tego niezwyklego kawalerzysty.